OPŁATA POCZTOWA UISZCZONA RYCZAŁTEM.

GŁOS KANIOWCZYKÓW i ŻELIGOWCZYKÓW

ORGAN ZWIĄZKU KANIOWCZYKÓW I ŻELIGOWCZYKÓW

Nr. 10 WARSZAWA, PAŹDZIERNIK 1934 ROK II

TREŚĆ:

Ś. p. gen. Juljan Stachiewicz



Dn. 20 września b. r. rozstał się z tym światem ś. p. gen. Stachiewicz Juljan, szef Wojskowego Biura Historycznego. Nieubłagana śmierć zabrała go w 44 roku Jego życia, w kwiecie wieku męskiego. Ubył żołnierz bohaterski, kryształowego charakteru obywatel, wybitny uczony.

Od młodzieńczych swych lat jest najbliższym i najwierniejszym współpracownikiem Józefa Piłsudskiego. Jako oficer Związku Walki Czynnej pracuje w latach 1908—1914 na terenie b. Galicji, obszarach królestwa Kongresowego i Rosji jako instruktor. Na wojnę światową wyrusza jako dowódca kompanji I Brygady Leg., następnie w stopniu kapitana pełni służbę oficera operacyjnego przy Dowództwie I Brygady.

Po aresztowaniu i wywiezieniu Józefa Piłsudskiego do Magdeburga zostaje szefem Sztabu Komendy Głównej P. O. W. w Polsce Odrodzonej. Jako major, zdobywa Przemyśl, w 1919 r. jest szefem sztabu dowództwa wojsk poznańskich, następnie w lutym t. r. obejmuje szefostwo oddziału operacyjnego w Naczelnem Dowództwie. W czasie bitwy warszawskiej zostaje powołany do sztabu Naczelnego Wodza, gdzie jako szef sztabu kieruje operacjami, które zdecydowały o zwycięskim wyniku wojny z Rosją. Po rozejmie, dowodzi 13 dyw. piech., od r. 1922 obejmuje Wojskowe Biuro Historyczne, które z przerwami prowadzi aż do śmierci.

Gen. Stachiewicz wyrastał wysoko ponad przeciętność. Wyższość niepospolita umysłu, erudycja, nieskazitelność charakteru, jak również wybitny talent wojskowy, — zdawały się przeznaczać go na zajęcie przodującego stanowiska w armji polskiej. Niestety,

nieubłagana choroba, niszcząca powoli ale stale jego siły fizyczne przeszkodziła temu. Jako Szef Wojskowego Biura Historycznego, stworzył zeń jedną z najpoważniejszych swych placówek naukowych, która wpływ swój wywierała daleko poza ramy armji.

Za okazaną pieczę nad pracami historycznymi o naszych formacjach został wybrany jednogłośnie na naszym Zjeździe tegorocznym w Stanisławowie członkiem honorowym naszego Związku.

* * *

Odszedł od nas generał, który w historji Polski był świetlaną postacią, był jednym z tych, o których z dumą możemy powiedzieć że „dobrze zasłużył się Ojczyźnie".

DR. BR. NAKONIECZNIKOW-KLUKOWSKI

O obronie państwa i rezerwie

Obrona państwa — to podstawowy obowiązek każdego obywatela, a przygotowanie obywateli do spełnienia tego obowiązku — to czołowa konieczność państwowa.

Zagadnienie to, mimo głoszonych dziś wszędzie haseł pokojowych, stanowi kwestję pierwszoplanową we wszystkich niemal państwach.

Tembardziej Polska, ze względu na swe położenie geograficzne, nie może pozostawać w tyle. Musi mieć silną i sprawną kadrę wojskową, opartą o dobrze wyszkoloną i społecznie uświadomioną armję rezerwową.

Wychowanie ideowe młodzieży i zaprawienie jej do ofiarnej służby dla państwa w organizacjach jednolitego przysposobienia wojskowego zabezpieczy armji naszej tęgiego, świadomego swych obowiązków żołnierza-obywatela zarówno w służbie czynnej jak i w rezerwie.

Rezerwista nie przestaje być żołnierzem-obywatelem na posterunku, zawsze gotowym do ofiar na rzecz państwa.

Zrzeszony w organizacji społecznej, jaką jest u nas Związek Rezerwistów i podporządkowany jego ideologji — będzie najtrwalszą ostoją naszego bytu państwowego.

* * *

L. GODNIEWSKI

Rezerwa czuwa

Tak zwany „zbrojny pokój" zyskał sobie prawo obywatelstwa w świecie. Wszystko się robi dla pokoju. Niezliczone konferencje, pakty i traktaty mają rzekomo na celu jedynie utrwalenie pokoju, ochronę ludzkości przed niszczycielskiemi skutkami wojny. Czuwać ma również nad tem Liga Narodów, przeznaczona w swem założeniu do roli interwencyjnej w sporach międzynarodowych.

A równocześnie znów opanował świat, jak przed 1914 rokiem, szał zbrojeń. Tu Anglja spuszcza na wody nowe pancerniki, tam Japonja buduje tysiące samolotów, Włochy zarządzają wzmocnienie pogotowia wojennego, wprowadzając powszechne przygotowanie wojskowe młodzieży już od 8 roku życia, a w Niemczech przemysł wojenny pracuje 24 godziny na dobę! Nie mówiąc już o Sowietach, gdzie poza przemysłem wojennym prawie żaden inny nie egzystuje.

W podobnych warunkach nie możemy zadowolić się formułkami pokojowemi naszych zbrojących się sąsiadów. Chowanie głowy w piasek nie byłoby dostateczną gwarancją bezpieczeństwa. To też czujnie śledzić musimy poczynania innych, a ufni we własne siły i w zdobyty w walce z zaborcami hart ducha, organizować się do obrony — na wszelki wypadek.

Szereg posunięć na terenie międzynarodowym i szereg zarządzeń zewnętrznych świadczy o niezłomnej woli naszego rządu bronienia godności i wielkości Państwa.

W akcji tej rząd musi być poparty w najszerszym tego słowa znaczeniu przez całe społeczeństwo bez różnicy przekonań. Tą platformą, na której niwelować się muszą wszelkie różnice przekonań śród obywateli, jest siła obronna państwa. Jej wyrazicielką oficjalną w pierwszym rzędzie jest armja czynna, stojąca na straży bezpieczeństwa Państwa odzewnątrz i ładu wewnętrznego.

Rola społeczeństwa polega na stworzeniu dla tej armji warunków najskuteczniejszego wypełnienia przez nią tych ciężkich i odpowiedzialnych obowiązków. Spełnić to zadanie może tylko społeczeństwo dobrze sharmonizowane i odpowiednio zorganizowane. A chociaż wiele jeszcze pod tym względem mamy do przezwyciężenia, tem niemniej szczycić się już dziś możemy niepoślednieni wynikami. Posiadamy bowiem sze-

reg organizacyj, współdziałających z armją czynną i w miarę możności ją uzupełniających. Nie wszystkie jeszcze z nich, walcząc z trudnościami finansowemi, zdołały osiągnąć należny im poziom rozwojowy, tem niemniej, to co już dokonane zostało, jako wynik ciężkiej, mozolnej pracy ideowej — zasługuje na najwyższy podziw i uznanie.

Bo czy nie chwyta nas za serce widok tego mrowia dziatwy szkolnej, entuzjastycznie garnącej się pod sztandary harcerstwa. Nie, by się bawić, lecz dla zaprawiania się w znoju i trudzie żołnierskim; nie, by psocić, lecz by wyrobić w sobie hart ducha i rozwijać cnoty prawego obywatela.

A czy nie napawają nas znów otuchą karne oddziały „Strzelca", rekrutującego się z młodzieży w wieku przedpoborowym, która szykuje się już bezpośrednio do właściwej służby w szeregach armji i do dalszej pracy społecznej.

Kiedy więc odpowiednio przygotowana młodzież poborowa wejdzie w twardą szkołę czynnej służby wojskowej — da armji pierwszorzędny ideowy materjał, który z łatwością wydoskonali się w żołnierce i pogłębi w sobie zrozumienie dla karności społecznej, tak niezbędnej dla życia i rozwoju naszego młodego organizmu państwowego.

Niestety, ciężkie powojenne warunki ekonomiczne nie pozwalają na dłuższe szkolenie żołnierza w szeregach armji czynnej. Tem niemniej ten cenny nabyty przez niego w czasie służby dorobek nie powinien się zmarnować po przejściu do rezerwy.

I tu zaczyna się rola trzeciej wielkiej organizacji społecznej, jaką jest Związek Rezerwistów.

Rok rocznie wychodzą do rezerwy dziesiątki tysięcy żołnierzy. Przestają być wprawdzie żołnierzami z konieczności, ale pozostają żołnierzami z obowiązku obywatelskiego. Zawsze muszą być w pełnej gotowości do obrony zagrożonej ojczyzny. By tę gotowość obronną w żołnierzu, obywatelu utrzymać, by go z wojskiem związać, ducha żołnierskiego w nim krzepić i do pracy społecznej sposobić — powstał Związek Rezerwistów.

Ma on za zadanie czuwać, by żołnierz przechodzący do rezerwy, nie tylko nie zatracił zdobytych w służbie czynnej walorów, lecz by podążał stale za nowemi zdobyczami techniki wojskowej, przystosowując się do wytwarzanych przez nie zmian.

„Bo jak po skończeniu szkoły" — pisze wybitny działacz społeczny, prof. dr. Władysław Bujwid, — „nie można zapominać o dalszem kształceniu umysłu przez czytanie i rozwijanie swej inteligencji, gdyż inaczej nasz umysł stopniowo skarłowacieje i dojdzie do stanu pierwotnego nieokrzesania,—podobnie też i żołnierz-obywatel, zdobywając pracą codzienną zarobek dla rodziny, musi znaleźć pewien zasób czasu na dalsze ćwiczenia i uzupełnianie swej wiedzy wojskowo-obywatelskiej, ażeby nie zapomniał o tem, że nie wolno mu pozostawać beczynnym zjadaczem chleba, obojętnym na najżywotniejsze zagadnienia Państwa, będącego wspólnem naszem dobrem".

Dobre wyszkolenie rezerwisty oddziaływa dodatnio na jego psychikę. Zrównany pod względem wyszkolenia ze swym kolegą ze służby czynnej, w razie powołania pod broń, nie będzie doznawał upokarzającego uczucia niższości i będzie się czuł w swojem środowisku. Ściślejszy kontakt z wojskiem i jego tradycją zwiąże go z niem i podtrzyma w nim ducha żołnierskiego, który stanowi przecież o zwycięstwie.

Tę łączność z wojskiem, to przedłużenie życia wojskowego poza wojskiem może znaleźć rezerwista w swym Związku. Lecz będąc stale żołnierzem na posterunku, winien być nadto obywatelem, czujnym na wszystkie przejawy życia państwowego.

Musi rozumieć wszystkie potrzeby państwa i wżyć się w każdą dziedzinę pracy społecznej dla państwa.

Ta właśnie strona wychowania obywatelskiego rezerwisty stanowi drugi zasadniczy cel Związku Rezerwistów.

Praca społeczna, praca dla państwa i jego wielkości, tak jak służba wojskowa, wymaga zdyscyplinowania i sprężystej organizacji, by była skuteczną. Obywatel, który zawsze czuje się żołnierzem na posterunku, daje rękojmię, że pracę tę spełni należycie. I dlatego właśnie Związek Rezerwistów, jednoczący w sobie zarówno szkołę żołnierską jak i szkołę pracy obywatelskiej, jest tą organizacją, która skupić powinna wszystkie ideowe elementy. Wiele okoliczności wskazuje już dziś na to, że tak właśnie się stanie. Federacja P. Z. O. O. przywiązuje specjalną wagę do rozwoju Z. R. i stawia to, jako naczelny punkt swego programu. Powołanie sekretarza generalnego Z. R. równocześnie na stanowisko sekretarza generalnego Federacji daje najlepszy temu wyraz. Pozatem Z. R. zaczyna budzić coraz większe zainteresowanie śród związków sfederowanych, wysuwając go na ich czoło.

Przeszło 200.000 rezerwistów, zorganizowanych w 2.000 kół na obszarze 253 powiatów — to cyfry, które mówią same za siebie.

I słusznie przepowiedział w roku ubiegłym w wygłoszonej na zjeździe delegatów Z. R. mowie p. prezes Zyndram-Kościałkowski:

„Członkowie innych organizacyj nam pokrewnych, chcąc mieć warsztat pracy twórczy i przyszłościowy, będą musieli do nas przyjść, w naszych szeregach znaleźć sobie prawo i miejsce do pracy... w poczuciu konieczności spełnienia obowiązku względem Państwa".

Tak, to jest najgłówniejsza nasza rola i najważniejsze zadanie. Czuwać nad bezpieczeństwem naszego

państwa, naszą pracą i krwią zdobytego, budować dlań wały ochronne z piersi miljonów naszych następców, przekazać im nasze tradycje i doświadczenie, by utrzymali to, co ojcowie ich zdobyli — to jest najwłaściwsze pole działania dla naszych związków historycznych.

Tysiące kilometrów naszych, przeważnie nie zabezpieczonych, granic patrzy na nas. Żołnierz Rzeczypospolitej — to jedyny nasz mur graniczny. Musi być mocny i niezłomny — i takim trzeba go urobić.

I jeżeli dziś zwołujemy dawnych towarzyszów broni pod nasze sztandary związkowe, jeżeli się organizujemy i zrzeszamy, — to właśnie w poczuciu tego wielkiego obowiązku, który na nas ciąży i którego spełnienie jest szczytnem naszem posłannictwem.

M. BIRNBAUM

Wielki proces dziejowy

Stara to jak świat bajka o ojcu, który dowiódł swym synom, że każdy z nich łatwo przełamie każdy z siedmiu prętów zosobna, a złączonych razem, przełamać nie zdoła.

Tej wielkiej prawdy w życiu społecznem postanowił Marszałek Piłsudski nauczyć obywateli Państwa Polskiego, rzucając hasło konsolidacji społeczeństwa.

Trzeba tak niezłomnej woli i wielkiego autorytetu, jaki ma Marszałek w narodzie polskim, by to hasło nie pozostało tylko mądrem słowem kaznodziei, lecz by w ciągu stosunkowo krótkiego czasu przyobleklo się w realne formy.

Wołali wielkim głosem o jedność narodu najlepsi synowie Polski, wodzowie powstań narodowych i umierali za tę ideę z bronią w ręku, wołał o to jak o ratunek wielki kaznodzieja ks. Piotr Skarga. Lecz głosy te wywoływały najwyżej szlachetne odruchy w zbyt nikłej części społeczeństwa, by mogły one scementować Rzpltą siłą, którąby potrafiła odeprzeć napór wroga.

Dziś jesteśmy świadkami, jak pod wpływem genjuszu Piłsudskiego idą w parze moral i czyn.

W tej mierze pouczające będą dla przyszłych pokoleń dzieje ostatnich kilku lat.

Walą się partje polityczne jedna za drugą. Jeszcze tu i owdzie osiągają one swe niszczycielskie drobne efekty. Lecz z mroków waśni klasowych, narodowościowych, stanowych i t. p. już się wyłania sylweta złączonego w wielkim wysiłku dziejowym społeczeństwa.

Ciała parlamentarne otrzymują jednolitą większość, która zdolna jest do prowadzenia przebudowy rozdartego ustawodawstwa polskiego.

Na podstawie nowej ustawy samorządowej powstaje nowy, silny, jednolity w swem założeniu i dążnościach samorząd terytorjalny, — gmina miejska i wiejska — który idzie ku pracy gospodarczej od podstaw.

Powstaje samorząd gospodarczy: izby rolnicze, izby rzemieślnicze, izby przemysłowo-handlowe.

Słowem, całe społeczeństwo organizuje się w jeden wielki obóz pracy, który wykuwa nową mocną wielką Polskę.

Proces ten odzywa się dobroczynnym echem również na polu pracy wychowawczej i oświatowej. Łączą się w jedno organizacje zawodowe i społeczne.

Po uporządkowaniu i zespoleniu organizacji młodzieży, jak Straż Przednia, działająca na terenie młodzieży szkół średnich. Legjon Młodych — młodzież akademicka — mamy do zanotowania nowe zjawisko o doniosłem znaczeniu: zjednoczenie młodzieży wiejskiej, wśród której działały dotąd dwie prorządowe organizacje: Zw. Młodzieży Ludowej i Związek Młodzieży Wiejskiej „Siew". Odbywają się już w ostatniej zjazdy okręgowe. W najbliższym czasie wybrany zostanie zarząd główny zjednoczonych organizacyj, który z nowemi siłami i jednolitym programem pójdzie na wieś z kagańcem oświaty, uświadomienia społecznego i przysposobienia rolniczego.

Miejsce agitatora, który szuka tylko tego, co ludzi dzieli, zajmuje nowy typ działacza, który szuka tego, co ludzi łączy.

Nie trzeba chyba dowodzić, że mamy w Polsce, zwłaszcza na wsi, jeszcze bardzo wiele do zrobienia. Mamy szczególnie trudne zadanie, bo działamy w okresie najpotworniejszego z kryzysów gospodarczych. Wypełnić nasze zadania potrafimy, wszelkim trudnościom zwycięsko stawiemy czoła, jeśli proces konsolidacji sił społecznych, współdziałających z władzami państwowemi, rozwijać się będzie w dotychczasowym choćby tempie.

Najlepiej skonstruowany program rządowy zawisnąć musi w próżni, jeśli nie trafi na zorganizowane społeczeństwo, silne jednością celów i zadań.

Nie chcemy i my pozostawać wtyle, nie chcemy pozostawać biernymi widzami lub, co gorsza, tkwić w organizacjach lub stowarzyszeniach, rozbijających

jedność społeczną. To też prowadzimy akcję zjednoczenia wojskowych b. formacyj wschodnich, które czynnie o niepodległość walczyły.

Zjednoczeni, zbratani, pójdziemy w społeczeństwo, każdy wedle sił, umiejętności i zawodu, by wspólnemi siłami poprzeć rząd polski w jego walce o dobrobyt i mocarną siłę Polski.

Mamy piękne tradycje, mamy piękne za sobą czyny. Lecz to już nie wystarczy. Nie możemy poprzestawać na wpatrywaniu się w piękną przeszłość, by nie odgrywać roli gapia, któremu — wpatrzonemu w ładny obrazek — spada na łeb cegła z nowobudującego się domu.

Przebrani w cywilne ubrania, każdy przy swoim warsztacie, świecić musimy przykładem pracy społecznej dla swego i ogółu dobra. A przedewszystkiem przyczyniać się do konsolidacji społeczeństwa, które przez długie lata jeszcze utrwalać musi niepodległą pozycję.

Komunikaty

KONGRES FIDAC'U

W dniu 24 września r. b. otwarty został w Londynie 15-ty z kolei Kongres Fidac'u, na który wyjechała delegacja polska w składzie 13 osób, pod przewodnictwem gen. dr. Romana Góreckiego, prezesa honorowego Fidac'u i prezesa Federacji P. Z. O. O.

W skład delegacji weszli: wiceprezesi Federacji rtm. Józef Ryszkiewicz i mjr. Edwin Wagner, oraz poseł Władysław Starzak w zastępstwie wojewody dr. Dziadosza, sekretarz generalny Federacji poseł Jan Walewski, skarbnik generalny dr. Bronisław Burhardt, poseł Leopold Tomaszkiewicz ze Zw. Legjonistów Polskich, wiceprezes Związku Inwalidów Woj. naczelnik Henryk Rudowski, prezes Zw. Powstańców Śląskich dr. Adam Kocur, prezes Federacji na Francję dr. Franciszek Bratek-Kozlowski i red. Kazimierz Smogorzewski.

Unję Polskich Związków Obrończyń Ojczyzny reprezentowały pp. Wanda Pełczyńska ze Zw. Kurjerek Pierwszej Brygady i Marja Zdziarska-Zaleska ze Związku Peowiaczek.

ZWOLNIENIE OD OPŁAT CZŁONKOWSKICH

Zwolnienie od opłat członkowskich mogą otrzymywać tylko członkowie bezrobotni lub znajdujący się w wyjątkowo ciężkiej sytuacji (choroba, klęska żywiołowa i t. p.).

Składane w tej sprawie przez członków podania do Zarządu muszą być dostatecznie uzasadnione.

Pozatem, opłata składek członkowskich obowiązuje wszystkich członków zarówno będących w służbie czynnej, jak i w rezerwie.

WYJAŚNIENIE

Wobec licznych zgłoszeń na członków naszego Związku b. uczestników Armji gen. Hallera we Francji wyjaśnia się, że tylko ci z pośród nich mogą być członkami zwyczajnymi Związku K. i Ż., którzy pełnili również służbę ochotniczą w jednej z b. formacyj polskich na Wschodzie.

ZWROT ZAPOMÓG I POŻYCZEK

Na odezwę Zarządu Gł., nawołującą do zwrotu otrzymanych z Funduszu Zapomogowego zapomóg i pożyczek przez kolegów, którzy obecnie posiadają zatrudnienie — nie wszyscy, niestety, zareagowali.

Wzywamy przeto ponownie i ostatecznie zainteresowanych do niezwłocznego uiszczenia zaciągniętych wobec Związku zobowiązań i zaznaczamy, że niezależnie od ogłoszenia w numerze listopadowym listy niewypłacalnych dłużników, zastosuje się względem nich rygory statutowe.

SKREŚLENIE Z LISTY CZŁONKÓW

Na mocy par. 18-b statutu skreśleni zostali z listy członków Związku K. i Ż. jako zalegający w opłacie składek członkowskich ponad 6 miesięcy:

Adamczyk Antoni, Adamczyk Piotr, Bekierski Mieczysław, Billewicz Eugenjusz, Bryczkowski Melchjor, Chotkiewicz Piotr, Chyliński Bronisław, Ciepieniak Władysław, Dobiński Stefan, Dymiński Feliks, Dzidek Franciszek, Dzikowski Piotr, Gontarczyk Władysław, Górecki Edward, Gromuła Kazimierz, Herman Leopold, Iwanicki Gustaw, Kamiński Zdzisław, Kępka Władysław, Kiziński Józef, Kołodziejczyk Felicja, Kopciński Bronisław, Korf Jan, Krauze Józef, Przeździecki Antoni, Wolski Teofil.

W ODDZIAŁACH ZWIĄZKU

Radom

W dniu 23 września r. b. w sali Sejmiku radomskiego z inicjatywy Związku Kaniowczyków i Żeligowczyków Oddziału w Radomiu, odbył się Zjazd b. żołnierzy Formacji Wschodnich, zamieszkałych na terenie Ziemi Radomskiej.

W zjeździe przyjęło udział 167 przedstawicieli poszczególnych Organizacji b. Wschodnich Formacji, reprezentujących różne związki wojskowych polaków.

Zebranie zagaił prezes Oddziału radomskiego L. Włoczkowski zapraszając na przewodniczącego obrad płk. Lubińskiego, a do prezydjum przedstawicieli wszystkich organizacyj.

Scalenie b. wojskowych Wschodu na terenie Ziemi Radomskiej stało się już faktem dokonanym, co w znacznej mierze ułatwi pracę przyszłemu Kongresowi Organizacji Wschodnich, który odbędzie się w pierwszych dniach listopada r. b.

Jednocześnie uchwalono następujące rezolucje: „my byli żołnierze Formacji Wschodnich Ziemi Radomskiej zebrani w dn. 23 września 1934 r. na Zjeździe w Radomiu uchwalamy: mając jako przewodnią naszą myśl, dobro Ojczyzny naszej na celu w wykonaniu jak najowocniej obowiązków naszych obywatelskich i żołnierskich, uważamy scalenie byłych żołnierzy polskich z całego Wschodu, jako przejściowy etap do złączenia w jedną scementowaną rodzinę uczestników walk zbrojnych o Niepodległość i zwracamy się do Zarządów Głównych Związków byłych żołnierzy ze Wschodu, jako też do Komsiji Scaleniowej Wschodu z prośbą o jak najrychlejsze dokonanie tego scalenia na terenie całej Rzeczypospolitej, gdyż zdaniem naszem wymaga od nas tego nasza ukochana Ojczyzna i Jej Wódz ideowy Pierwszy Marszałek Polski Józef Piłsudski".

Po uchwaleniu powyższej rezolucji wysłano depeszę następującej treści: „Do Pana Generała Broni Lucjana Żeligowskiego poczta Turgele Ziemi Wileńskiej. Żołnierze byłych Formacji Wschodnich ziemi radomskiej, reprezentujący: Legjon Puławski, I Korpus Wschodni, żołnierzy z pod Kaniowa, IV Dywizję imienia Pana Generała, V Dywizję Syberyjską, Murmańczyków i inne formacje Wschodnie, zebrani w dniu dzisiejszym na wspólnym zjeździe w Radomiu wyrażają Ci Panie Generale swoją żołnierską wdzięczność za kierowanie akcją scalenia nas wszystkich w zwarte szeregi, meldują Ci swoje posłuszeństwo dla służby ukochanej Ojczyzny w myśl wskazań Wodza Narodu Pierwszego Marszałka Polski Józefa Piłsudskiego, pod Twoim Panie Generale rozkazem. Prezydjum".

Pozatem na Zjeździe powzięto cały szereg doniosłych uchwał, dotyczących życia wewnętrznego Oddziału.

Wilno

Nowy Zarząd Oddziału Wileńskiego Zw. K. i Ż. ukonstytuował się w sposób następujący:

Prezes — Skotnicki Stefan, v.-prezes — Zakrzewska Dębska Marja, Sekretarz — Mingałło Leon, Skarbnik — Kościukiewicz Józef, Zastępca skarbnika — Murawski Mieczysław.

Hrubieszów

Dnia 21 października b. r. w Hrubieszowie odbędzie się Walne Zebranie członków tamtejszego terenu w celu wybrania Zarządu Odziału. Na prezesa Oddziału uzgodniona została kandydatura rejenta Rosińskiego, zaś na stanowisko sekretarza kol. Felicjana Radlińskiego, którzy wyrazili zgodę na przyjęcie tych stanowisk.

BEZPŁATNE PRZEKAZY PIENIĘŻNE

Równocześnie z nową obniżoną taryfą pocztową został wprowadzony z dniem 1 b. m. nowy, bezpłatny dla wysyłających, sposób przesyłania pocztą należności pieniężnych do administracji pism i dzienników.

W tym celu ustanowiony został przez pocztę specjalny typ blankietów przekazowych t. zw. przekazy rozrachunkowe (kolor błękitny), przy których pomocy można przekazywać do czasopism i dzienników należności na prenumeratę, pojedyncze egzemplarze, ogłoszenia i t. p., do wysokości 15 zł. Wysyłający nie ponosi przytem żadnych kosztów dodatkowych.

Blankiety przekazów rozrachunkowych są do nabycia we wszystkich urzędach pocztowych w cenie 1 gr. za sztukę.

ŚWIETLICA FEDERACJI P. Z. O. O.

Świetlica Federacji P. Z. O. O. przy ul. Brackiej 1 po przeprowadzeniu gruntownego remontu została już otwarta i można z niej korzystać codziennie od godz. 6 — 9 wieczorem.

W Świetlicy znajduje się bibljoteka, z której bezrobotni korzystać mogą bezpłatnie.

AVISO

Dr. Ignacy Wapiński, lekarz Zw. Rezerwistów i Zw. Kaniowczyków i Żeligowczyków udziela członkom Związku porad lekarskich na warunkach ulgowych, niezamożnym bezpłatnie.

Specjalność: choroby skórne i weneryczne.

Adres: Warszawa, Marszałkowska 123.

Członek Zw. naszego, kol. Ancewicz Aleksander, konserwator-stroiciel na m. st. Warszawę największej w Polsce fabr. fortepianów i pianin p. f. „Arnold Fibiger" wykonuje strojenia, naprawę i t. p. Dla członków Związku ustępstwo 25 proc. Zgłoszenia tel. 10-17-62.

JAN SZCZEPKOWSKI

Z tułaczki żołnierskiej

Wspomnienie z Besarabji

(Ciąg dalszy)

Usłyszało tę zgorzkniałą uwagę zbyt domyślne dzienikarskie ucho i zaraz w kąciku humorystycznym naszego „Legjonisty" (Nr. 16 datowany we wsi Siemionówka 3 maja) „redaktor za humor nieodpowiedzialny" zamieścił zjadliwy feljetonik, zatytułowany: „Kwestja kobieca w IV dyw. (Odczyt niewygłoszony z powodu znajdowania się w dywizji takiej ilości kobiet, które mogłyby prelegenta za jego szlachetne intencje uszkodzić—przyp. redakcji)". Tym wstępem opatrzony artykulik, w którym autor radził paniom „rozwiązać kwestję kobiecą przez powzięcie jednomyślnej uchwały o wyjeździe niezwłocznym do domów", zapewniając jednocześnie, że „Dowództwo choć z bólem w sercu, lecz z właściwą mu elegancją rozstanie się z Wami, mając Wasze dobro na sercu", przeczytany jeszcze na ciepło, wywołał okrutne wzburzenie wśród maszynistek sztabowych, interpelację nagłą u wyższego dowództwa, no i oczywiście zwycięstwo pełnych wojennego animuszu kancelistek, uwieńczone czarną tłustą plamą na wypuszczonych w świat obozowy arkuszach „Legjonisty".

Mówiąc o „Legjoniście", trudno nie dodać, że z dziedziny dziennikarskiej była to wprawdzie skromna, ale jedyna dla żołnierzy lektura, skwapliwie chwytana przez wojsko. Zawdzięczaliśmy ją wielce czynnemu w dywizji porucznikowi Mieczysławowi Birnbaumowi (Gruszeckiemu), który służąc w szkole instruktorskiej był jednocześnie redaktorem „Legjonisty" i redakcję, jak mówiono, nosił pod pachą, a drukarnię „na plecach". Od czasu do czasu wychodził numerek tego pisma z garścią wiadomości o wielkich i niezmiernie interesujących nas zdarzeniach, jakie tworzyły współczesną historję Polski.

Obfitszej lektury dostarczała bibljoteka naukowo-beteltrystyczna, istniejąca przy sztabie dywizji, szczęśliwie wywieziona z Odesy.

Jeśli wywiezienie tej bibljoteki nazywamy „szczęśliwem", to wywiezienie drukarni „Legjonisty" z Odesy można doprawdy uznać za godny historycznego wspomnienia bohaterski czyn towarzyszów sztuki drukarskiej.

Archiwum sztabu i co było pod ręką załadowano na wozy rekwirowane na mieście — dla drukarni brakło miejsca. Zecerzy, jak wielu innych, nie orjentowali się w chaosie pośpiesznej ewakuacji, odnośnie tego, co jest więcej, a co jest mniej potrzebne dywizji. Dowództwo kazało jechać — maszyna i czcionki zostały.

Już prawie na krańcach miasta nawinął się redaktor, idący ze szkołą instruktorską w tylnej straży.

— Drukarnia zabrana? — pyta zecerów.

— Została, panie poruczniku!

— Rety! drukarnia ważniejsza niż wszystko — trzeba wracać i zabrać!

— Rozkaz, panie poruczniku!

I wrócili dwaj dzielni ludzie: plutonowy, obecnie chorąży R. i star. żołn. N.

W mieście już wojska naszego nie było, a jeśli się jaki maruder nawinął, wnet żydzi i bolszewicy urządzali nań polowanie, gospodarowała bowiem wszechwładnie „Jewrejskaja drużyna". Kulki gwizdały po wszystkich ulicach, należało chować się pod ściany domów, przebiegać piorunem od węgła do węgła — słowem używać różnych forteli, aby ocalić głowę. Zecerzy nasi nietylko szczęśliwie przebyli miasto i dotarli do opuszczonego przez sztab gmachu na ul. Piotra Wielkiego, ale jeszcze zdążyli zarekwirować jakiś wóz, na który załadowali drukarnię. Powracać w tę samą stronę okazało się nieprawdopodobieństwem, drogi bowiem odwrotu naszych wojsk ostrzeliwane były przez bolszewików, oraz przez naszą artylerję i piechotę, idące w arjergardzie. Skierowano więc wóz ku portowi, tam bowiem kończyli jeszcze ładowanie na okręty Francuzi i Grecy drobny w tej wielkiej ciżbie nasz szpital dywizyjny.

Trudna to była sprawa w olbrzymim zgiełku, ruchu i przepychaniu różnych wojsk, nie znając języka francuskiego dostać się na statek, zwłaszcza z ciężką maszyną i skrzynkami czcionek, ale czegóż nie zdziała człowiek, mający spryt i silną wolę? Pokonawszy tysiące przeszkód, upadając ze śmiertelnego znużenia, wcisnęli się wreszcie wraz ze swoją kochaną drukarnią na jakąś barkę żaglową, zapchaną wojskowemi rekwizytami, dozorowanemi przez murzynów, żołnierzy kolonjalnych francuskich regimentów. Barka została przyczepioną na linie do jakiegoś handlowego parowca, zarekwirowanego do transportu wojsk.

Gdy wypłynięto na pełne morze, gdy fale poczęły rzucać barką jak piłeczką, a parowiec nie robiąc sobie żadnej ceremonji pędził z nią jak swawolny chłopiec z dziecinnym wózkiem po wyboistej drodze, wtedy zecerzy przestali już marzyć o składaniu pięknych szpalt nowego nader ciekawego numeru „Legjonisty", a natomiast zdało im się, że widzą niebywałą sensację między płochemi barabulkami i poważnemi

krabami, jaką wywoła wkrótce niespodziane przybycie na dno morskie w jednej partji: twardej maszyny, polskich zecerów i afrykańskich murzynow.

Ale nie dość tego. Zapadła bezgwiezdna ponura noc. Na parowcu zabłysły elektryczne światła, barka zaś tonęła w ciemnościach, a szelmowskie fale już się wdzierały do środka. Naraz poczuli nasi zecerzy, że barka przestała się przedzierać wbrew woli bałwanów przez ich spienione karki, lecz że teraz one samodzielnie bawią się tylko podnoszeniem jej w górę lub opuszczaniem w głębię, i spostrzegli, również, że światła parowca nikną gdzieś w oddali. Pomacano linę: wisiała zerwana!

Statek popłynął w świat, a ich na pełnem morzu zostawił!

Sytuacja była pod zdechłym rekinem.

Fale bujały brutalnie białych i czarnych wojaków, za co oni mogli odwdzięczyć się jedynie pogardą, połączoną z efektami morskiej choroby.

Tak przeszła okrutna noc i nastał pochmurny dzień. Nie rozwijano żagli, aby wiatr nie zagnał barki na jaką odludną wyspę, gdzie są ludożercy. Coprawda zecerzy nasi mieli pewne wątpliwości w tym kierunku przedewszystkiem odnośnie towarzyszów przygód, ale murzyni pokazali wymownie na migi, że nie należą do plemienia, które zjada białych, przeciwnie, że oni obawiają się apetytu „bon polonais" i dlatego, jakie tylko mieli produkty, wyciągali z worków i dzielili się z naszymi. Wtedy to zawarto ścisły aljans polsko-afrykański, przypieczętowany na rozstaniu wymianą fotografji czarnych i białych piękności, obietnicami wzajemnych odwiedzin w Senegalu i w Warszawie oraz rzeczywiście serdecznemi objawami murzyńskiej szczerości niezepsutej obłudną cywilizacją.

Mieli czas na wzajemne poznanie się i zawarcie przyjaźni, gdyż samotną barkę przeszło trzy doby rzucały fale. Położenie stawało się tragiczne i zapasy żywności i wody już się wyczerpały; w gronie tem nie było ani jednego zawodowego żeglarza, ani kompasu, na horyzoncie nie widać było żadnego lądu ni okrętu, jeno na wodzie rozwichrzone fale, a na niebie skołtunione obłoki.

Nie tracono jednak ducha: nasi wylewali ze dna wodę lub gwizdali „Usia-siusia!", murzyni zaś szczerzyli białe zęby i ustawicznie wspinali się na wierzchołek masztu, by obserwować widnokrąg. Nareszcie czwartego dnia przed wieczorem jeden z obserwatorów zakrzyczał coś przeraźliwie i jął pokazywać w pewnym kierunku, potem zsunął się z masztu jak szympans z kokosowej palmy, zwołał towarzyszów, a ci po krótkim ogólnym wrzasku i wymachiwaniu nad głową rękami, pościągali z siebie i z naszych wszystką białą bieliznę, zaimprowizowali z niej wielkie chorągwie i poczęli dawać rozpaczliwe sygnały w stronę widnej na horyzoncie smugi dymu.

Widocznie z okrętu znaki te zauważono, wkrótce bowiem kominy parowca wyłoniły się z baranków wodnych i statek ów pośpieszył z pomocą przygodnym Robinsonom.

Był to angielski torpedowiec. Gentlemani oceanów nie marudzili długo: rzucili murzynom skrzynkę z konserwami oraz beczułkę z wodą, przytroczyli barkę mocną liną do torpedowca i powlekli ją jeszcze szybszym pędem aż do... Konstantynopola.

Tam znów mieli nasi zecerzy ogromne trudności językowe, finansowe, żołądkowe i licho wie jakie, szczęśliwie je zwyciężyli, dostali się na parowcu amerykańskim do Galaczu, a potem koleją do Besarabji, gdzie odszukali polską dywizję i zdali drukarnię redaktorowi we wsi Siemionówka.

Dzielnie się spisali ci żołnierze—zecerzy, niema co mówić!

Życie obozowe, o ile zatrzymuje dłużej na jednem miejscu, zawsze przedstawia przykrą dla żołnierzy monotonję, dlatego też mile została przyjęta wiadomość o mającej się odbyć w dniu 11 maja pod Jermokleją uroczystości uczczenia pierwszej rocznicy sławnej bitwy Kaniowskiej.

Oczywiście nie mogli wszyscy brać w niej udziału. Pułki wysyłały tylko reprezentacyjne oddziały wszelkich rodzajów broni, składające się prawie wyłącznie z Kaniowczyków.

Dzień był ciepły i słoneczny.

Na prześlicznej polanie w prostokącie, pomiędzy trzema ścianami, podszytym gęstwą krzewow dzikiego gaju, zbudowano ołtarz polowy. wspaniale udekorowano go zielenią i polskiemi barwami, wśród których majestatycznie powiewał i wzbudzał podniosły nastrój sztandar z Matką Boską.

Polanę pokrywała bujna trawa, przetykana barwnemi pękami stepowych kwiatów i wypełniał zapach ziół, rosy i kwitnących w gaju akacji — słowem był to cudny, rzadko spotykany zakątek. Wojska ustawiły się w czworobok, wprost ołtarza stanął sztab dywizji z generałem Żeligowskim, pułkownikami: Loir'em, Małachowskim i Bobickim na czele, a obok ołtarza warta honorowa. Kapelan dywizyjny ks. Oskierko przywdział ornat i rozpoczęła się msza polowa.

Orkiestry zagrały uroczystą religijną melodję, a tony jej wstrząsnęły listowiem gajów i zbudziły śpiące słowiki.

Szare śpiewaki, strząsnąwszy rosę poranną ze spracowanych nocnym koncertem gardziołek, połączyły swe cudne trele z tonami trąbek i fletów. Odbity od ścian zieleni melodyjny akord wydostał się na szerokie błonia i w rozedrganych falach stepowego wiatru popłynął tam, gdzie była Polska.

Wsparci na karabinach i lancach dumali żołnierze-tułacze ze smutkiem głębokim o tych dzielnych towarzyszach broni, którzy w oplotkach Potoku,

pod cerkwią w Kozinie lub na groblach Masłówki chwalebną śmiercią zginęli, a dziś, zda się, stoją jak żywi wśród żywych w szeregu, ramię przy ramieniu i wspólnym duchem złączeni patrzą w otwierające się wrota Wielkiej Ojczyzny.

W szeregach naszych byli oficerowie i żołnierze Józefa Hallera z owych legunów żelaznej Karpackiej Brygady, którzy zdeptali obłudną i zdradziecką uprzejmość austrjacko-pruską, plunęli w twarz ołowiem potężnym zwycięzcom wschodu Europy za traktat Brzeski, za nowe pohańbienie Polski i z pod Rarańczy podążyli na wschód, aby połączyć się z tymi braćmi, którzy od początku Wielkiej Wojny bili największego wroga polskości, pomni mądrej przestrogi ojców, że „jak świat światem, nie będzie Niemiec Polakowi bratem".

Ludzie ci wspólnie stworzyli Kaniów, a echo ideowej Kaniowskiej bitwy, jak wiadomo, rozległo się w całej Europie i Ameryce, zjednało nam zaufanie Ententy i przyczyniło się wielce do przywrócenia Polsce praw mocarstwowych.

Śmiałym odruchem szczerości, odwagi i poświęcenia siebie dla honoru Polski spełnili bezwiednie pierwszorzędnej doniosłości akt polityczny. Uczestnicy tej pierwszej rocznicy obok zadowolenia ze spełnionego obowiązku nosili jednak w sercu pewien niewygasły jeszcze żal do przeciwników organizacji wojskowych, których błędy podcięły niestety śmiałe zamiary stworzenia wielkiej armji polskiej na wschodzie Europy.

Po skończonem nabożeństwie kropnął pouczającą mówkę kapelan, potem przemówił krótko lecz dobitnie generał Żeligowski i rozpoczęła się defilada przed dowództwem. Serce rosło z radości Polakom na widok tych szeregów, a stojący z odkrytemi głowami w pokornem ogłupieniu Mołdawjanie i Mołdawjanki pootwierali szeroko oczy i usta, jakgdyby ten pierwszy raz w życiu oglądany widok chcieli połknąć i przechować we wnętrzach na zawsze.

Z orkiestrami na czele przeciągała dzielna piechota i oddziały techniczne, potem toczyły się po trawie z dyskretnym turkotem armaty, symbolizujące realnie powagę naszej siły, wreszcie jadąca na dzielnych białych koniach orkiestra ułańska, sypnęła dźwiękami takiego siarczystego mazurka, do którego aż dusza się rwała, by wyskoczyć i wyciąć hołupca! Za kapelą sunęły czwórki ułanów, a konie ich z wdziękiem jak zgrabne tancerki do taktu nóżki stawiały. Furkotały chorągiewki, mieniły się lampasy amarantowe, żółte i białe, a miny ułanów wąsate i dumne, jakby zdobywców połowy świata, z góry upewniały każdego, że ci dopiero bobu hajdamakom zadadzą!

I rzeczywiście, zadali im nad Strypą (Jazłowiec—Tłuste) i pod Uścieczkiem takiego łupnia, że cała ukraińska armja podała sobie jedynie dla niej wtedy logiczne hasło „wtikaj!".

Niesłychanie śmiałe przeprawy i szarże okryły historyczną sławą „Dziką dywizję", a zwłaszcza ułanów i ich dzielnych dowódców: majora Plisowskiego i majora Kownackiego.

Konie mieli nasi kawalerzyści dobrze utrzymane. Należy doprawdy podziwiać spryt tych kochanych ułanów, jak oni potrafili doskonale, mówiąc delikatnie, „kombinować", że w tak wypatroszonym z owsa i siana kraju zdobywali jednak coś więcej, niż świeżą trawę.

Tak to defilowały polskie wojska na ziemiach rumuńskich, bezwiednie dumne z przypadku dziejowego, nieprzewidzany bowiem fakt znalezienia się w południowej Besarabji wojsk naszych prócz bezpośredniego znaczenia politycznego i strategicznego dla Polski miał duże symboliczno-dziejowe znaczenie w stosunkach tej ostatniej z Rumunją.

Współudział polskich wojsk w obronie granic Rumunji przypominał żywo potomkom ludów starożytnej Dacji, jak ongi w stopiątym roku po Chrystusie wojownicy sarmaccy pomagali im w walkach z najeźdźcą rzymskim, o czem świadczą sceny wykute w marmurze kolumny Trajana w Rzymie i jak potem śpieszyli rycerze polscy hospodarom mołdawskim z pomocą w obronie przeciw Tatarom i Turkom, a dziś znów stają zbrojnie obok nowoczesnej Dako-Latynji (Rumunji), by złączonemi ramiony od morza do morza zagrodzić czerwonym hordom wstęp do cywilizowanej Europy.

Po skończonej rewji wojsko ustawiło broń w kozły i zaczęła się ochocza zabawa, coś niby majówka, urządzona przez jakąś korporację zżytych ze sobą ludzi, którzy po wspólnej pracy używają teraz sielskiej swobody cywilów. Oficerowie zmieszali się z żołnierzami, górnie patrzący ułani — z nieocenionej wartości piechotą, polowy artylerzysta emablował powiewną maszynistkę, a praktyczny taboryta obserwował bacznie, kiedy się rozpocznie akcja winobrania.

Nie była to bowiem taka sobie sucha ceremonjalna rocznica, na której wojsko wysłuchawszy urzędowego nabożeństwa, urzędowych mówek i urzędowym krokiem przedefilowawszy, wraca do koszar na zwykły fasunek z kotła. I tu dymiły wprawdzie polowe kuchnie, ale prócz tego okazałe beczki francuskiego wina i kosze pełne zakąsek, rozdawanych rączkami naszych, niegodziwie przedtem „kwestjonowanych", a tak pożytecznych teraz pań, świadczyły wymownie, że jest to uroczystość w szerzej pojętym stylu, podnoszącym wigor duchowy i cielesny uczestników...

Nareszcie 21 maja nadszedł upragniony przez wojsko rozkaz gerenała Hallera o wyruszeniu dywizji na front ukraiński w celu walki z Hajdamakami. W dniu 23 maja naczelne dowództwo francuskie zamieniło na

odcinku naszą dywizję — dywizją grecką, a w dniu 25 maja, przed wyruszeniem do Czerniowiec, odbył się jeszcze jeden pożegnalny przegląd pod Kauszanami.

Na tych błoniach, gdzie tkwiły orły rzymskich legjonów, gdzie później przez tyle wieków tratowały ziemię dzikie hordy ludów północy i wschodu, teraz przeciągały w bojowym rynsztunku ze sztandarami wszystkie pułki IV Dywizji Wojsk Polskich. Przeglądu dokonał główny dowódca Grupy Wojsk Sprzymierzonych na Wschodzie, generał d'Anselme w otoczeniu generałów francuskich i licznej świty, przyczem udekorował krzyżami zasługi „croix de guerre" generała Żeligowskiego, oficerów i żołnierzy tych wszystkich, którzy chlubnie się odznaczyli w zwycięskich walkach pod Tyraspolem i w przeprawie przez Dniestr.

Po tym ostatnim przeglądzie transporty naszych wojsk stopniowo odjeżdżały koleją przez Bendery i Kiszyniów do Czerniowiec. W tym samym czasie bolszewicy lewobrzeżni, zachęceni przez solidarne elementy w Benderach, dokonali wypadu, przeprawiwszy się przez Dniestr. Bolszewicy benderscy jednocześnie podnieśli głowę rewolucji, ale rychło zostali również „na głowę" pobici przez dzielnych murzynów (turkosów) francuskich, a wypad z lewego brzegu Dniestru został odparty przez Francuzów przy pomocy naszej artylerji i ułanów.

Linja kolejowa z Bender do Kiszyniowa biegnie w pewnym punkcie tuż prawie nad brzegiem Dniestru. Bolszewicy wiedząc o przejeździe naszego wojska, skierowali na ten punkt swoje armaty i zajadle ostrzeliwali przejeżdżające pociągi. Chociaż marnie celowali, nie obeszło się bez ofiar. Jeden z pocisków uderzył bowiem w ostatni wagon transportu ułańskiego.

Nie chcąc narażać dywizji na niepotrzebne straty, dowództwo resztę wojska skierowało drogą stepową do Kiszyniowa, a stamtąd koleją do Czerniowiec.

Tu znów blisko dwa tygodnie czekano w niepewności i martwiono się wiadomościami, że oddziały generała Hallera, skutkiem rozkazu generała Berthelot'a z Bukaresztu, nie mają prawa brać udziału w wojnie z Ukraińcami i że Ukraińcy korzystając z okazji podnieśli głowy, prą naprzód, a oddziały Wojsk Polskich cofają się na Halicz i Rohatyn.

Wreszcie nadszedł sprawiedliwy i upragniony rozkaz, którym otworzono nam wrota do Polski.

Rzuciła się w nie wiara z właściwym zapałem, a czyny jej bojowe we Wschodniej Małopolsce zapisała stalowym rylcem na swych nieśmiertelnych kartach historja.

T. RODZIEWICZ

Oddział Romański

(Ciąg dalszy)

W kilka godzin po zajęciu Melitopolu wwaliła się do miasta wataha ukraińska (zdaje się VI dyw. Petlury). O mało nie doszło do krwi przelewu; załatwiono sprawę tak, że oddz. Drozdowskiego i my wycofaliśmy się z miasta.

W mieście tym przyłączyło się do nas kilku ludzi m. in. Kornel Godlewski pierwszy i jedyny kawalerzysta w naszym oddz. „konnym" i fenomenalny szczęściarz, który do dziś dnia pozostaje w szeregach 14-go pułku ułanów Jazłowieckich, protoplastą którego był nasz oddział.

Drugim cennym nabytkiem był miczman czarnomorskiej floty Śniegocki — doskonały kawalerzysta. W drodze na Mariupol — Berdiankę coraz częściej na przeprawach i przy przejściu linji kolejowej natrafialiśmy na zastawy niemieckie (wzgl. austrjackie); wtedy Rosjanie robili „układy" i do starć nie dochodziło.

Żałobnym momentem dla naszego oddziału była wieść o rozbrojeniu II korp. pod Kaniowem, tem bardziej, że wśród ludzi zapanowała duża konsternacja i trzeba było stracić wiele energji, żeby uspokoić umysły i zatrzymać ludzi. Kilku słabszych duchem zdezerterowało.

W Mariupolu dostaliśmy kilkanaście koni (czyli szkap), a w Berdiance natrafiliśmy na rymarski oddział ewak. arsenału warszawskiego, w którym pracowało wielu Polaków. Przy ich pomocy zafasowaliśmy m. in. kilka siodeł. To nam pozwoliło na powiększenie liczby szabel do 30-u i otrzymania miejsca w konnym pułku rosyjskim pod nazwą: „Szwadronu Polskiego II konnego pułku dobrowolców". Politycznie, gospodarczo i językowo byliśmy zupełnie niezależni, taktycznie podlegaliśmy dowództwu pułku.

Należy zaznaczyć, że nas nie używano do żadnych

czynności natury drastycznej. Służba naszych ludzi polegała przeważnie na patrolowaniu.

W okolicach Taganrogu sprawa zaopatrzenia stawała się coraz trudniejszą. Drozdowskij pieniędzy już nie miał, furaż i żywność za który dotychczas płaciliśmy, trzeba było „wypożyczać" — stąd oczywiście sarkania a nawet bójki. Troską główną (co spoczywało na moich barkach jako furażera, prowiantowca i wogóle taboryty) było dobre utrzymanie koni, tego głównego czynnika naszej egzystencji. Ludzie jakoś sobie dawali radę; poprostu robili „oko" do „chachłuszek" i mieli dosłownie maślaną wyżerkę.

Wszystkie pyski były na okrągło i na czerwono — a to grunt.

Pomału a stale zbliżaliśmy się do Rostowa, a tem samem do Donu t. j. do kresu naszego forsownego marszu i do upragnionego wypoczynku.

Symbioza z kozactwem nie uśmiechała się nam, tem więcej, im częściej stykaliśmy się z nimi w okręgu Tahanrogu.

Zbliżały się święta prawosławne Wielkiejnocy, Drozdowskij chciał swoim ludziom zrobić przyjemność i przed świętami dotrzeć do Rostowa; to też kilka przemarszów było wprost zabójczych.

W wielką sobotę zatrzymano siedmiowiorstowy (dosłownie) tabor o kilkanaście kilometrów od miasta, wysyłając piechotę i kawalerję dla opanowania miasta. Traf zrządził, że kozacy w Nowoczerkasku (stolicy Donu kozackiego) niezależnie od drozdowców, w tym samym dniu stoczyli bój z bolszewikami, odpierając ich na Rostów (odległy 35 klm.).

Bolszewicka załoga Rostowa pod naciskiem Drozdowców i naszych dzielnych kawalerzystów b. szybko oczyściła Rostów. Nic nie wiedząc o sytuacji w Nowoczerkasku zarządzono ściągnięcie taborów na zachodnie przedmoście. Całą noc podciągano tabory, gdy się rozwidniło stwierdziłem, iż cały olbrzymi tabor wraz z dziesięciu armatami, naszą sławną (bo zepsutą) radjostacją w artystycznym bezładzie znajduje się w kotlinie, mając poza sobą strome wzgórza i tylko dwie polne drogi: jedną odkrytą „na cały świat", drugą djablo pokręconą i pofałdowaną. Przed nami piętrzyły się parkany, domy, brudna sadzawka i kilka wąskich uliczek.

Pesymiści poczęli sarkać na dowództwo, które tak nieostrożnie lokuje cały swój dobytek.

Bolszewiccy uciekinierzy z Nowoczerkaska i z Rostowa spotkawszy się na pół drogi między temi miastami prawdopodobnie postanowili kozaków pozostawić w spokoju a całą siłą uderzyć po nas, tak też się stało. O 6-ej rano pierwsze „święcone jajo" przegwizdało nad naszemi głowami. Chłopcy nasi, którzy jeszcze z wieczora z wielką brawurą zwijali się po mieście z szablami na goło, napawając dumą i radością serca tych Polaków, których burza wojenna zagnała aż hen nad Don (Uniwersytet Warszawski), dziś musieli pełzać na brzuchach po rowkach i bruzdach ogrodów podmiejskich dzielnie sekundując piechocie Drozdowskiego.

Sytuacja dla taborów stawała się coraz gorszą, a od chwili gdy jeden pocisk klapnął w sam gąszcz ludzki, a dwa następne w sadzawkę, mordując żaby, zaczęto namyślać się nad sposobem ucieczki.

Nadomiar złego dowódca ros. „konno-górskiej" baterji ustawił swoją parszywą baterję nad naszemi łbami i począł prażyć do miasta. Postraszył nam, świnie, konie, a ludzi wytrącił z równowagi.

Widocznie szczęśliwa gwiazda sprzyjała naszej polskiej „kupce", gdyż wylot tej pokręconej polnej drożyny obstawiały moje jedenaście wozów. Na dany znak do odwrotu, zmobilizowałem całą brać i na rękach każdy wóz przesuwaliśmy na dogodne miejsce, skąd dzielni woźnice mogli wiać podpędzani rozsiewanemi szczodrą ręką szrapnelami.

Tak wydobyliśmy całe mienie naszego „szwadronu polskiego". Co się poza nami działo, niewiele nas to rozczulało; fakt, że Drozdowskij 2/3 swoich taborów zostawił w przeklętym wąwozie.

Niemcy, którzy również zdążali do zajęcia Rostowa, ale się o parę godzin spóźnili i byli uprzedzeni przez nas i moskali, w dniu tym udziału w boju nie przyjmowali gdyż (rzekomo) Drozdowskij oświadczył, że sam sobie poradzi. Dopiero dnia następnego, Niemcy zajęli Rostow i podobno zwrócili Rosjanom stracone tabory, jednak pod warunkiem by ci zajęli Nowoczerkask i nie wścibiali swego nosa do poczynań niemieckich.

Następnego dnia wkroczyliśmy triumfalnie do Nowoczerkaska witani przez „wdzięczną" ludność stolicy kozactwa dońskiego. Niebawem Drozdowskij zwrócił się w obszernym artykule w miejscowym dzienniku do ludności z wyjaśnieniem celu swego przybycia między innemi zaznaczając: „W miestie s nami priszli polskije czasti Poliaki wiernyje swojemu łozungu za naszu i waszu wolnost' i t. d.".

Trzytygodniowy postój w Nowoczerkasku staraliśmy się zużytkować w kierunku wyszkolenia ludzi w sztuce władania bronią białą, w jeździe konnej i t. p. Funkcję instruktora „jazdy" powierzono por. Godlewskiemu. Dowódca oddziału Szmidt usilnie pracował nad ....przyszywaniem amarantowych lampasów do siwych rejtuzów i otoków na kaszkiety „ruskago obrazca".

Stopniowo, a coraz wyraźniej, zaczęły się tworzyć dwie grupy, wzajemnie się zwalczające. Dookoła osoby Szmidta zgrupowali się ludzie o niższym poziomie inteligencji, ściślej mówiąc ci, dla których sprawa polska była czemś problematycznem, zamglonem, natomiast przewodziła żądza zrobienia karjery wojskowej, wszystko jedno, zresztą gdzie i jakiej.

Drugą grupę, mniejszą liczebnie lecz silniejszą intelektualnie, stanowiła garstka oficerów, troską któ-

rych było utrzymanie oddziału w jak najlepszym stanie duchowym i przekazanie go we właściwe ręce. Trudne to było zadanie, jeśli się zważy, że Szmidt bądź co bądź był dowódcą i on jedne miał dostęp do Drozdowskiego i jego sztabu. Szmidt bez porozumienia się ze swoim „sztabem" zaczął przyjmować ludzi o podejrzanym konduicie, a często i wyglądzie, m. in. przyjął do oddz. szer. Barabaszowa, który podając się za syna Polki, był niczem innem jak wysłannikiem bolszewików. Autorytet mój wśród chłopców malał z dnia na dzień, pod wpływem „ważkiego" argumentu Szmidta, że „Tapieluch" toć nie człowiek, a tem bardziej nie żołnierz.

Postój w Nowoczerkasku jednak miał i dodatnią stronę, chłopcy wypoczęli, oblatali się, nauczyli się siedzieć na koniu, a co najważniejsze, przestali traktować konia jako sprzęt potrzebny do lokomocji, a zaczęli w nim widzieć towarzysza doli i niedoli żołnierskiej.

Przyznaję się do grzechu, że kilkakrotnie za złe obchodzenie się z koniem, zmuszony byłem wjechać „rycerzem" na twarz.

W pierwszej połowie czerwca Drozdowskij licząc ok. 3000 ludzi zarządził wymarsz za Don ażeby się połączyć z oddziałami Korniłowa, Pokrowskiego, Engla i in. Nasz oddział liczył czterdzieści kilka szabel i tyleż taborytów, ciurów i „rezerwy".

Wkraczaliśmy w strefę bezpośredniego kontaktu z bolszewikami.

Nie było oczywiście frontu, nie było tyłów, nie było rezerw, był tylko niezmierzony step doński i kubański, po którym hasały oddziały przeróżnej orjentacji politycznej, wielorakich narodowości, kultury i autoramentu.

Walczyli jak z nami, tak i przeciw nam oddziały: Dońców, Kubańców, Kirgizów, Tekińców (zdaje się Kałmuków), Rosjan, Chachłów, czyli Ukraińców i t. d.

Tacy „towarzysze broni" i idei nigdy nie wróżyli nic pewnego, często-gęsto, dzisiejsi sprzymierzeńcy, jutro stawali się wrogami.

Postoje „w sprzymierzonych" stanicach (jak Mamych Wielikokniażeskaja i inne) były dla nas Polaków istną udręką. Rozkaz dowództwa rosyjskiego nakazywał lojalność względem dońskich kozaków, a te dranie, nie chcieli nam nic dać. To co się otrzymywało z intendentury dobrowolców było nie wystarczające i ludzie, a szczególnie konie, na tem bardzo cierpiały. Np. w jednej stanicy ograniczono spożycie wody; łatwo zrozumieć co to znaczy przy upale 30-stopniowym. Gdzie indziej wyfasowano mięso, ale do kotła nie dano wyrwać z ogrodów warzyw.

(D. c. n.)

SPROSTOWANIE

W pierwszej części artykułu „Oddział Romański", zamieszczonym w poprzednim numerze (9/34), szpalta pierwsza, wiersz 7 od dołu, wydrukowano błędnie „ppor. Sędraskiego" zamiast „ppor. Jędraszki", co niniejszym prostujemy.

Skrzynka pocztowa

St. sierż. Fudali Kazimierz. Kraków. 5 Baon. Telegr. Komitet odznaki posiada ewidencje tylko tych żołnierzy IV D. S., którzy wstąpili do Dywizji przed 1 kwietnia 1919 r. i mają prawo do odznaki tej Dywizji. Ponieważ Sz. Kolega wstąpił do Dywizji dnia 24 czerwca 1919 r. przeto w ewidencji Komitetu nie znajduje się i zaświadczenie o służbie może otrzymać jedynie w Archiwum Wojskowem na forcie Legjonów w Warszawie. Gdyby w Archiwum nazwisko Pana było przepuszczone, należy zwrócić się do nas z załączeniem szczegółowego przebiegu służby w IV D. S. oraz stwierdzeniem tej służby przez 2 oficerów IV Dywizji.

Prokopski Kazimierz w Warszawie. Komisja Bratniej Pomocy załatwia li tylko sprawy członków Związku. Przypominamy pismo nasze z dn. 18.IX r. b. i prosimy o nadesłanie żądanych dokumentów na podstawie których będziemy mogli powziąć decyzję o przyjęciu Pana w poczet członków Związku.

Mjr. Korzański Ryszard w Bydgoszczy. Gazetę naszą będziemy wysyłać w dalszym ciągu. Legitymacje członkowskie Związek wydaje wszystkim członkom, a więc otrzyma ją i Pan Major. Odznaki związkowej nie zatwierdzamy, ponieważ przewiduje się odznaka Formacji Wschodnich, zamiast naszej związkowej.

WYDAWCA: ZWIĄZEK KANIOWCZYKÓW i ŻELIGOWCZYKÓW.
REDAKTOR: LEOPOLD GODNIEWSKI, KPT. REZ.

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: Warszawa, Złota 14 m. 15. Tel. 296-61. Konto P. K. O. 17.544.

PRZEDPŁATA: miesięcznie 50 gr., półrocznie 3 zł. Egzemplarz pojedynczy 50 gr.

Drukarnia Współczesna, Sp. z o. o., Warszawa, Szpitalna 10.